

DEAN
KOONTZ



PIECZARA
GROMÓW

1

Obudziła się i pomyślała, że oślepa. Otworzyła oczy, ale nie widziała nic, tylko złowrogie, bezkształtne cienie, wylaniające się z purpurowego mroku. Nie zdążyła jednak wpaść w panikę, gdyż ciemność szybko ustąpiła miejsca delikatnej mgiełce, a ta rozplynęła się zaraz, odsłaniając biały sufit wyłożony dźwiękoszczelnymi płytkami.

Poczuła zapach świeżo wypranej pościeli, środków antyseptycznych, dezynfekcyjnych, spirytusu.

Odwróciła głowę i w tym momencie rozdzierający ból niczym prąd elektryczny przeszył jej czaszkę na wysokości czoła, od skroni do skroni. Natychmiast rozmył się obraz przed jej oczami, a gdy znów zaczęła widzieć ostro, spostrzegła, że leży w sali szpitalnej.

Nie pamiętała, jak się tu znalazła. Nie знаła nawet nazwy szpitala. Nie wiedziała, w jakim jest mieście.

Co się stało?

Podniosła rękę i stwierdziła z przerażeniem, że jest bardzo słaba. Potem dotknęła czoła i odkryła, że część głowy, od brwi w górę, pokryta jest bandażami. Włosy

miała krótko ostrzyżone, choć zawsze były długie i puszyste.

Brakowało jej siły, żeby trzymać dłużej uniesioną rękę, więc opuściła ją z powrotem na koldrę.

Lewej ręki w ogóle nie mogła podnieść, ponieważ tkwiła w niej igła połączona z długą rurką. Koło łóżka stał metalowy statyw, na którym zawieszono butelkę z glukozą. Karmiona była dożylnie.

Pewna, że to tylko złudzenie, zamknęła oczy. Ale gdy je otworzyła, ujrzała ten sam niezmienny pokój: biały sufit, białe ściany, zielona wykładzina na podłodze, rozsunięte na boki bladożółte zasłony, które odsłaniały olbrzymie okno. Za szybą widziała gąszcz wysokich, wiecznie zielonych krzewów i zachmurzone niebo, na którym uchowało się tylko kilka kawałków błękitu. W sali znajdowało się jeszcze jedno łóżko, ale niezajęte przez nikogo. Była sama.

Łóżko, na którym leżała, miało z boku metalową kratkę, która podniesiona – tak jak to teraz miało miejsce – zabezpieczała pacjenta przed spadnięciem na podłogę. Poczowała się tak bezradna, jak dziecko w kojcu.

Nagle uprzytomniła sobie, że nie pamięta, jak się nazywa. Ani ile ma lat. W ogóle nie mogła przypomnieć sobie żadnych szczegółów z własnego życia.

Wyteżyła siły, próbując zburzyć białą ścianę w umyśle, która więziła po drugiej stronie jej pamięć, ale bez powodzenia. Ściana wciąż stała, nieporuszona, nietknięta. Zelektryzował ją nagły strach, który w postaci ciężkiej, lodowej bryły osiadł w żołądku. Jeszcze raz spróbowała ożywić pamięć, ale znów przegrała.

Amnezja. Uszkodzenie mózgu.

Ta zatrważająca konstatacja uderzyła ją z siłą młota kowalskiego, powodując straszny wstrząs. Na pewno miała jakiś poważny wypadek i mózg uległ silnemu uszkodzeniu. Ponura wizja dalszego życia w stanie ciągłej niepamięci sprawiła, że wstrząsnął nią dreszcz.

Nagle jednak, zupełnie niespodziewanie, przypomniała sobie, jak się nazywa. Susan. Susan Thorton. I że ma trzydzieści dwa lata.

Ale tych kilka kropli z oceanu pamięci nie pociągnęło za sobą spodziewanej strugi wspomnień. Susan nie mogła przypomnieć sobie nic więcej ponad nazwisko i wiek. Choć starała się bardzo, nadal nie potrafiłaby powiedzieć, gdzie na stałe mieszka, gdzie pracuje, czy ma męża, dzieci, skąd pochodzi, gdzie uczęszczała do szkoły, jakie są jej ulubione potrawy ani jakiej najchętniej słucha muzyki. Nie potrafiła znaleźć odpowiedzi ani na istotne, ani na błahe pytania.

Amnezja. Uszkodzenie mózgu.

Serce ze strachu zabiło jej szybciej. Ale wtedy los się nad nią zlitował i wyświetlił w jej pamięci obraz wakacji w stanie Oregon. Nie wiedziała nadal, skąd pochodzi ani dokąd miała wrócić do pracy po skończonym urlopie, ale przynajmniej wiedziała już, gdzie się aktualnie znajduje. Gdzieś w Oregonie. Ostatnią rzeczą, którą pamiętała, była piękna górską szosa. Obraz ten miała teraz przed oczami i widziała najdrobniejsze szczegóły. Prowadziła samochód przez sosnowy las, w dali widać było brzeg oceanu. Słuchała radia. Był piękny, bezchmurny poranek i cieszyła się na rozpoczynający się dzień. Zjechała z

główniej drogi, przecięła niewielką osadę, wyprzedziła kilka sunących powoli ciężarówek i znów znalazła się na drodze zupełnie sama. Po kilku kilometrach...

No tak, tu film się urywa. Potem jest już tylko sala szpitalna i ona, zmieszana i niewidząca.

– Co ja widzę? Nareszcie! Proszę pani...!

Susan odwróciła głowę, szukając właściciela głosu. Obraz znów się rozmył, a jej czaszkę przeszył tępy ból.

– Jak się pani czuje? Wygląda pani blado, ale po tym, co pani przeszła, nie należy się dziwić. Prawda? Co do tego nie ma wątpliwości.

Głos należał do pielęgniarki, która zbliżała się od strony otwartych drzwi. Była pulchna jak bochenek chleba, szpakowata, miała ciepłe brązowe oczy i szeroki uśmiech. Na obfitej, matczynej piersi spoczywały szkła w białej oprawce, umocowane na łańcuszku zawieszonym na szyi.

Susan chciała coś powiedzieć, ale nie mogła.

Próba wypowiedzenia chociaż kilku słów kosztowała ją tyle wysiłku, że nagle przed oczami pojawiły się mroczki i o mało znów nie straciła przytomności. Nie przypuszczała, że jest aż tak słaba. Wystraszyła się niezmiernie.

Pielęgniarka doszła już do Susan i uśmiechnęła się dobrotliwie.

– Wiedziałam, że wyjdiesz z tego, skarbie. Po prostu wiedziałam. Niektórzy nie byli tutaj tego tak pewni, ale ja byłam. Wiedziałam, że ma pani dość siły, żeby się z tego wygrzebać.

Nacisnęła guzik przyzywający pomoc.

Susan ponowiła próbę wypowiedzenia słowa i tym razem z głębi jej gardła dobył się nieartykułowany gulgot. Przez głowę przemknęła myśl, że może już nigdy nie odzyska głosu. Może będzie skazana na wydawanie przez całe życie niepodobnych do ludzkiej mowy chrząknięć i mruknięć. Przecież czasami uszkodzenia mózgu powodują utratę mowy, prawda? Prawda?

W głowie Susan bez ustanku dudnił werbel. Wydawało się jej, że siedzi na karuzeli, która kręci się coraz szybciej i szybciej. Ogarnęły ją mdłości; zapragnęła zsiąść z tej karuzeli.

Pielęgniarka musiała dostrzec panikę w oczach Susan, bo powiedziała uspokajająco:

– Niczym się nie przejmuj, moje dziecko. Wszystko będzie dobrze.

Sprawdziła kroplówkę, po czym wzięła Susan za przegub prawej ręki, by zmierzyć tętno.

Wielki Boże, pomyślała Susan, jeśli nie mogę mówić, to pewnie nie mogę też chodzić.

Spróbowała ruszyć nogami, najpierw jedną, potem drugą, ale zupełnie nie miała w nich czucia. Były zdrętwiałe i jeszcze cięższe niż ręce.

Pielęgniarka po zmierzeniu pulsu puściła rękę pacjentki, ale Susan kurczowo uchwyciła się jej fartucha, nie pozwalając odejść, i znów chciała coś powiedzieć.

– Musi pani jeszcze trochę poczekać – rzekła spokojnie pielęgniarka.

Lecz Susan wiedziała, że nie może czekać. Znów balansowała na krawędzi utraty świadomości. W głowie pulsował piekielny ból, a obraz raz po raz rozmywał się

i ustępował miejsca powoli, ale stanowczo rozprzestrzeniającym się falom ciemności.

Do pokoju wszedł lekarz w białym fartuchu, zapewne wezwany przez pielęgniarkę, gdy ta nacisnęła guzik. Był to krzepki, pięćdziesięcioletni mężczyzna o surowej twarzy. Grube ciemne włosy zaczesane miał do tyłu, tak że odsłaniały całą twarz, pokrytą głębokimi zmarszczkami.

Susan błagalnie spojrzała na lekarza, gdy zbliżał się do łóżka, i spytała:

– Czy mam sparaliżowane nogi?

Przez chwilę wydawało się jej, że faktycznie wypowiedziała to zdanie, ale zaraz zdała sobie sprawę, iż nie odzyskała jeszcze głosu. Nie mogła ponowić próby, bo obraz przed oczami znów zalała fala ciemności, łapczywie pożerająca każdy skrawek rzeczywistego świata.

Ciemność.

Zasnęła. Miała złe sny, bardzo złe sny. Koszmary.

Po raz nie wiadomo który śniła jej się Pieczara Gromów i mnóstwo świeżej, ciepłej jeszcze krwi.

2

Gdy Susan się obudziła, ból głowy ustąpił. Obraz przed oczami nie był już rozmydlony, lecz całkiem wyraźny.

Zapadła noc. Za oknem panowała absolutna ciemność, ale w sali ktoś zapalił delikatne oświetlenie.

Susan odłączono już od kroplówki. Pokłuta igłami, blada i wychudzona ręka spoczywała bezwładnie na białej pościeli.

Odwróciła głowę i znów zobaczyła lekarza o srogim obliczu. Stał nad łóżkiem i na nią patrzył. Jego brązowe oczy posiadały dziwną, niepokojącą moc: Susan odniosła wrażenie, że nie spogląda na nią, lecz przenika do wnętrza, jakby chciał poznać jej najskrytsze tajemnice. A przy tym jego oczy nic nie wyrażały, były puste i enigmatyczne.

– Co... co się... ze mną stało? – zdołała z siebie wydusić.

Jej głos był słaby, chrapliwy i raczej trudny do zrozumienia, ale przynajmniej wiedziała już, że nie będzie skazana na niemą egzystencję z powodu uszkodzenia

mózgu, czego tak okropnie z początku się bała.

Jednakże nadal była bardzo słaba. Niezmiernie wyczerpało ją wyszeptanie nawet tych kilku słów zapytania.

– Gdzie... ja jestem? – wychrypiała, a w gardle paliła ją jak ogień każda z trudem wypowiedziana sylaba.

Lekarz nie odpowiedział od razu na jej pytanie. Pochylił się i wziął do ręki przełącznik dyndający na kawałku kabla biegnącego wzdłuż metalowej krawędzi łóżka. Nacisnął jeden z czterech guzików i oparcie łóżka uniosło się do góry, tak że Susan znalazła się w pozycji siedzącej. Następnie nalał do szklanki trochę wody z metalowej karafki, która stała przy łóżku na tacy z żółtego plastiku.

– Proszę pić małymi łykami – powiedział. – Minęło już trochę czasu od dnia, kiedy po raz ostatni pokarmy i płyny przyjmowała pani doustnie.

Wzięła od niego wodę. Była przepyszna. I nareszcie wyschnięte gardło Susan zostało nawilżone.

Gdy wypięła wszystko, lekarz odebrał od niej szklankę i postawił z powrotem na nocnej szafce. Potem z kieszeni fartucha wyjął punktową latareczkę, nachylił się i zajrzał w oczy Susan. Jego oczy, ukryte pod linią gęstych, łączących się brwi, były wciąż nieprzeniknione.

W czasie gdy lekarz badał jej źrenice, Susan znów podjęła próbę poruszenia nogami. Były miękkie jak z waty i wciąż bardzo słabe, ale jednak dały się przesunąć. Nie były więc sparaliżowane.

Kiedy lekarz skończył badanie, przysunął dłoń do twarzy pacjentki i spytał:

– Czy widzi pani moją dłoń?

– Oczywiście – odpowiedziała Susan.

Jej głos wciąż drżał i był słaby, ale przynajmniej nie chrypiała już niezrozumiale.

Głos lekarza był głęboki, zabarwiony lekkim, gardłowym akcentem, który zdradzał obce, nieznane Susan pochodzenie.

– Ile palców pani widzi?

– Trzy – odpowiedziała, świadoma, że on sprawdza, czy nie doznała wstrząśnienia mózgu.

– A teraz ile?

– Dwa.

– A teraz?

– Cztery.

Lekarz skinął głową z zadowoleniem, a głębokie bruzdy na jego czole nieco się wygładziły. Oczy jednak wciąż wpatrywały się w nią z natężeniem. Peszyło ją to.

– Czy pamięta pani swoje imię i nazwisko?

– Tak. Nazywam się Susan Thorton.

– Zgadza się. A drugie imię?

– Kathleen.

– Dobrze. Wiek?

– Mam trzydzieści dwa lata.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Zdaje się, że pod tym względem pani nie ucierpiała.

Zaschło jej w gardle, a głos miała chrapliwy. Chrząknęła i powiedziała:

– Ale to wszystko, co pamiętam...

Znów ujrzała głębokie bruzdy na zmarszczonym od troski czole lekarza.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– No... nie pamiętam, gdzie mieszkam, gdzie pracuję, nie wiem, czy jestem zamężna, czy też nie...

Przez chwilę patrzył na nią badawczo, po czym oznajmił:

– Mieszka pani w Newport Beach w stanie Kalifornia.

Gdy tylko wymienił tę nazwę, Susan ujrzała swój dom. Wzniesiony w stylu hiszpańskim, miał pokryty czerwoną dachówką dach, ściany ozdobione sztukaterią, otwierane do środka okna, zamiast podnoszonych, i schowany był bezpiecznie wśród wysokich palm. Ale mimo wysiłków wciąż nie mogła przypomnieć sobie ani numeru domu, ani nazwy ulicy.

– Pracuje pani w Korporacji Milestone w Newport – dodał lekarz.

– Milestone? – powtórzyła Susan.

Coś zaczęło jej świtać, jakieś słabe światełko we mgle pamięci.

Lekarz znów przyjrzał się jej badawczo.

– Co się stało? – spytała, drżąc cała. – Dlaczego tak pan na mnie patrzy?

Zamrugął zdziwiony, po czym uśmiechnął się nieśmiało. Widać było wyraźnie, że uśmiech nie przychodzi mu łatwo i że ten jest wymuszony.

– No... no, przecież się o panią martwię... I chcę wiedzieć, z czym mamy do czynienia. W takim przypadku jak pani można się spodziewać czasowej utraty pamięci, ale jest ona łatwo uleczalna. Natomiast jeśli cierpi pani na coś więcej niż tylko czasowa amnezja, będziemy musieli zmienić sposób naszej kuracji. A więc to dla mnie bardzo ważne, żebym wiedział, czy nazwa „Milestone” coś dla pani oznacza.

– Milestone – powtórzyła w zamyśleniu. – Tak. To znajoma nazwa. Ale nic poza tym.

– Pracuje pani w Milestone jako fizyk. Kilka lat temu zrobiła pani doktorat na UCLA i zaraz po tym rozpoczęła pracę w Milestone.

– Och – rzuciła, gdy w głowie zaczęło jej się trochę rozjaśniać.

– Dowiadaliśmy się w Milestone o podstawowe fakty z pani życia – ciągnął lekarz. – Jest pani niezamężna i bezdzietna... – Mówił i patrzył, jakie to robi na niej wrażenie. – Układa się to już jakoś w spójną całość?

Susan odetchnęła z ulgą.

– Tak. Do pewnego stopnia tak. Niektóre rzeczy mi się przypominają, ale nie wszystko. Brakuje wielu kawałków.

– To jeszcze trochę potrwa – zapewnił ją. – Po takim wypadku trudno oczekiwać, żeby wszystko wróciło do normy w ciągu jednej nocy.

Miała wiele pytań do lekarza, ale ciekawość nie była na tyle silna, żeby pokonać ociężałość, słabość i pragnienie. Poprosiła więc tylko o jeszcze jedną szklanekę wody.

Nalał jedną trzecią naczynia i znów upomniał, by piła małymi łydkami.

Nie trzeba jej było tego przypominać. Po wypiciu poprzedniej porcji wody czuła, że ma żołądek tak pełny, jakby zjadła porządny obiad.

Gdy skończyła pić, zauważyła, że lekarz jeszcze się nie przedstawił.

– Och, bardzo przepraszam. Jestem Viteski. Doktor Leon Viteski.

– Zastanawiałam się, skąd ma pan ten dziwny akcent – powiedziała. – Chyba dobrze zauważyłam, prawda? Viteski... Czy jest pan z pochodzenia Polakiem?

Wyglądał na zakłopotanego i odwrócił wzrok.

– Tak. Byłem dzieckiem wojny. Po utracie rodziców przyjechałem w 1946 roku do Ameryki. Miałem wtedy siedemnaście lat. Wujek zabrał mnie ze sobą. – Spontaniczność zniknęła z jego głosu, który teraz brzmiał tak, jakby lekarz recytował wyuczoną na pamięć kwestię. – I tak mówię już lepiej niż na początku, ale chyba nigdy zupełnie nie wyzbędę się polskiego akcentu.

Najwidoczniej Susan dotknęła drażliwego tematu. Delikatna wzmianka o akcencie sprawiła, że lekarz stał się dziwnie defensywny.

Zaczął mówić szybciej niż do tej pory, jakby chciał skończyć z tym, co ma do powiedzenia, i zmienić temat.

– Jestem w tym szpitalu naczelnym lekarzem, szefem całego personelu medycznego. A przy okazji... czy pani w ogóle wie, gdzie znajduje się ten szpital?

– Noo... pamiętam, że byłam na wakacjach w stanie Oregon, choć nie potrafię sobie przypomnieć nazwy żadnej miejscowości. Jestem w Oregonie, prawda?

– Tak. Miejscowość nosi nazwę Willawauk. Liczy około ośmiu tysięcy mieszkańców. Willawauk jest siedzibą władz okręgu o tej samej nazwie. To głównie przemysłowy teren. Znajduje się tu tylko jeden szpital i właśnie w nim przebywamy. Nie jest zbyt duży; cztery piętra, dwieście dwadzieścia łóżek. Ale to dobry szpital. Powiem więcej: naszym zdaniem jest to lepszy szpital niż niejeden w dużym mieście, ponieważ u nas pacjentom poświęca się

więcej uwagi. A to wyraźnie ma dodatni wpływ na liczbę szczęśliwie zakończonych kuracji.

Jego głos nie zawierał cienia dumy czy entuzjazmu, jak powinien, biorąc pod uwagę treść wypowiedzi. Był prawie tak monotony i bezbarwny jak głos komputera.

A może tylko tak mi się wydaje? – pomyślała Susan. Może moje zmysły nie działają jeszcze jak należy?

Nie zważając na ociążałość i nieznośne pulsowanie, które znów pojawiło się pod czaszką, Susan uniosła głowę z poduszki i spytała:

– Panie doktorze, dlaczego ja tu jestem? Co się ze mną stało?

– Nie pamięta pani wypadku?

– Nie.

– Zawiodły hamulce, a na tym odcinku drogi – trzy kilometry na południe od skrzyżowania do Viewtop – było wyjątkowo dużo zakrętów.

– Viewtop?

– Tam pani jechała. W torebce znaleźliśmy potwierdzenie rezerwacji hotelowej.

– Viewtop to hotel?

– Tak. Viewtop Inn. Leży w miejscowości wypoczynkowej o tej samej nazwie. To wymarzone miejsce dla amatorów pieszych wędrówek. Hotel wybudowano pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat temu. I myślę, że teraz jest jeszcze bardziej popularny, niż był wtedy. To naprawdę miejsce, dokąd jedzie się, żeby o wszystkim zapomnieć.

Słuchając doktora Viteskiego, Susan przypominała sobie powoli pewne fakty. Zamknęła oczy i zobaczyła

hotel na serii kolorowych fotografii z lutowego numeru miesięcznika „Travel”. Ilustrowały one artykuł, po którego przeczytaniu była tak oczarowana obiektem, że natychmiast zarezerwowała pokój na część wakacji. Widziała teraz wyraźnie spadziste dachy, szerokie tarasy, obszerne foyer z licznymi kolumnami i ogrody otaczające Viewtop Inn.

– A więc zawiody hamulce – kontynuował Viteski – i straciła pani panowanie nad pojazdem, który przeciął balustradę nad urwiskiem, przekoziółkował dwa razy i zatrzymał się na drzewach.

– O Boże!

– Samochód rozbity był doszczętnie. – Lekarz potrząsnął głową. – To cud, że pani przeżyła.

Gwałtownie poderwała rękę do góry i jeszcze raz dotknęła bandażu na głowie.

– Jak ciężko jestem ranna?

Viteski zmarszczył krzaczaste brwi, tak że znów łączyły się prawie w jedno, długie pasmo. Susan odniosła niespodziewanie wrażenie, że jego mimika jest sztuczna, teatralna.

– Nie jest to coś bardzo poważnego – powiedział. – Szerokie rozcięcie głowy. Na początku bardzo pani krwawiła. Zszyliśmy jednak ranę bardzo starannie i jutro albo pojutrze zamierzamy zdjąć szwy. Rana nie chciała się szybko goić, ale teraz wszystko jest już dobrze i blizna na pewno nie będzie szpecąca.

– Czy doznałam wstrząśnienia mózgu?

– Tak, ale to naprawdę nic poważnego i sami nie wiemy, dlaczego tak długo była pani w stanie śpiączki.

Jeszcze przed momentem czuła rosnące znużenie i ocieężałość, ale po tym, co usłyszała, wzmożła czujność.

– Śpiączki?

Viteski skinął głową.

– Zrobiliśmy badanie tomograficzne mózgu, ale oczywiście nie natrafiliśmy na żadne ślady zatorów. Nie było też obrzęku tkanki mózgowej ani innych objawów wzrostu ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Doznała pani silnego uderzenia w głowę, które na pewno było przyczyną śpiączki, ale obawiam się, że na razie nic więcej na ten temat nie będziemy w stanie powiedzieć. W przeciwieństwie do tego, co można by wysnuć, oglądając telewizyjne seriale, współczesna medycyna jest jeszcze daleka od doskonałości i nie zna odpowiedzi na wszystkie pytania. Najważniejsze, że odzyskała pani świadomość i nie ma widocznych komplikacji ubocznych. Wiem, że te dziury w pamięci mogą na psychikę działać frustrująco, a nawet destrukcyjnie, ale jestem przekonany, że wkrótce to minie.

On nadal mówi tak, jakby recytował wyuczony na pamięć tekst, pomyślała Susan z niepokojem.

Ale nie zatrzymała się dłużej nad tym spostrzeżeniem, gdyż to, co powiedział Viteski, było dużo ciekawsze od dziwnej manieri, z jaką się wypowiadał. „Śpiączka”. To słowo ją zelektryzowało. „Śpiączka”.

– Jak długo byłam nieprzytomna? – spytała.

– Dwadzieścia dwa dni.

Wlepiła w niego spojrzenie pełne zdumienia i niedowierzania.

– To prawda – potwierdził.

Potrząsnęła głową.

– Nie, to niemożliwe.

Susan zawsze mocno trzymała życie w rękach. Wszystko miała dokładnie zaplanowane i wydawało jej się, że jest przygotowana na każdą niespodziankę. Życiem prywatnym rządziły u niej te same prawa systematyczności i metodyczności co w pracy naukowej, które pozwoliły jej uzyskać doktorat w dziedzinie fizyki cząsteczkowej dużo wcześniej od rówieśników. Nie lubiła być zaskakiwana, nie lubiła również zdawania się na kogokolwiek prócz siebie samej. Stan bezbronności, w którym się teraz znalazła, wprawił ją w przerażenie. Przerażenie stało się jeszcze większe, gdy usłyszała od doktora Viteskiego, iż przez dwadzieścia dwa dni leżała w śpiączce, a więc była zupełnie uzależniona od obcych ludzi.

A gdyby już nigdy się nie obudziła?

Albo – co gorsza – gdyby obudziła się i stwierdziła, że jest sparaliżowana od szyi w dół i całkowicie zdana na czyjąś łaskę? Gdyby przez resztę życia musiała być karmiona, ubierana i zanoszona do toalety przez płatnych opiekunów?

Wstrząsnął nią dreszcz.

– Nie – powiedziała do doktora Viteskiego. – Nie mogłam stracić tyle czasu. Nie mogłam. To na pewno jakaś pomyłka.

– Czyżby pani nie zauważyła swej chudości? – spytał Viteski. – Straciła pani siedem kilo albo i więcej.

Podniosła rękę, cienkie jak dwa patyki. Już wcześniej zauważyła, że jest chuda, ale nie chciała się nad tym zastanawiać.

– Oczywiście przez cały ten czas podawaliśmy pani dożylnie różne płyny – zapewnił doktor Viteski. – W przeciwnym razie już dawno by pani umarła z odwodnienia organizmu. Zawierały one również środki odżywcze, głównie glukozę. Normalnego stałego pożywienia nie otrzymywała pani przez cały ten czas.

Susan miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i jej idealna waga wynosiła pięćdziesiąt pięć kilo. W tej chwili ważyła między czterdzieści pięć a czterdzieści osiem kilo, czego efekt był dramatyczny. Położyła ręce na pościeli i nawet przez jej grubą warstwę czuła wystające kości ud i kolan.

– Dwadzieścia dwa dni – rzekła z niedowierzaniem.

Aż wreszcie, z wielkim oporem, przyjęła do wiadomości tę niewiarygodną informację.

Gdy przestała negować niezaprzeczalne fakty, powrócił ból głowy i ociężałość. Jak kopka mokrej słomy opadła na poduszkę.

– Na pierwszy raz wystarczy już tych wrażeń – stwierdził Viteski. – I tak pozwoliłem pani za dużo mówić. Tylko się pani niepotrzebnie męczy. A teraz potrzebuje pani wypoczynku.

– Wypoczynku? – spytała. – Nie, na miłość boską! Wypoczywam już od dwudziestu dwóch dni!

– Śpiączka to nie jest prawdziwy wypoczynek – wyjaśnił Viteski. – To nie to samo co normalny sen. Trochę jeszcze potrwa odbudowanie sił i odporności organizmu.

Wziął do ręki regulator i opuścił oparcie łóżka.

– Nie! – Susan wpadła nagle w panikę. – Niech pan jeszcze nie odchodzi! Proszę poczekać!

Zignorował jej protest i opuścił oparcie łóżka do pozycji horyzontalnej.

Susan zaczęła czepiać się metalowej kratki, chcąc pozostać w pozycji siedzącej, ale była jeszcze zbyt słaba, żeby utrzymać swój ciężar.

– Chyba nie chce pan, żebym spała, co? – spytała, choć wiedziała, że sen jest jej potrzebny. Miała obolałe, zmęczone, palące oczy, a powieki były ciężkie jak z ołowiu.

– Teraz najbardziej potrzeba pani właśnie snu – powiedział lekarz.

– Ale ja nie mogę spać.

– Wygląda pani tak, jakby organizm domagał się czegoś wręcz przeciwnego – odparował Viteski. – I wcale się nie dziwię.

– Nie, nie! Nie odważę się pójść spać. Co będzie, jeśli się już nie obudzę?

– Obudzi się pani.

– A co będzie, jeśli zapadnę w następną śpiączkę?

– Nie zapadnie pani.

Susan zazgrzytała zębami ze złości, że lekarz nie potrafi zrozumieć jej lęku, i nie dawała za wygraną.

– A jeśli jednak zapadnę?

– Moja droga, nie można przez całe życie bać się zasnąć. – Viteski mówił teraz powoli, cierpliwie, jakby zwracał się do dziecka. – Niech się pani odpręży. Już pani wyszła z tej śpiączki. Wszystko będzie dobrze. A teraz, proszę mi wybaczyć, zrobiło się późno... Muszę iść coś zjeść i samemu położyć się spać. Powtarzam – niech się pani odpręży, a wszystko będzie dobrze. Zgoda?

Jeśli on tak wygląda, kiedy stara się być miły, myślała

Susan, to jak się zachowuje, kiedy się nie stara?

Lekarz podszedł do drzwi.

Susan chciała krzyknąć: „Nie zostawiaj mnie samej!”, ale silne poczucie niezależności nie pozwoliło jej zachować się jak wystraszone dziecko. Nie chciała polegać na doktorze Viteskim ani na kimkolwiek innym.

– Musi pani wypocząć – rzekł. – Jutro wszystko będzie wyglądać lepiej.

Wychodząc z sali, wyłączył górne oświetlenie.

Cienie wyskoczyły nagle ze wszystkich zakamarków, jakby tylko na tę okazję czekały, i przybrały najróżniejsze kształty. Susan nigdy nie bała się ciemności, ale teraz poczuła się nieswojo, a serce zaczęło jej bić przyspieszonym rytmem.

Salę oświetlał jedynie zimny blask mrugającej na korytarzu lampy fluorescencyjnej – doktor Viteski nie zamknął jeszcze drzwi – oraz słabe światelko małej lampki nocnej stojącej na stole w rogu pokoju.

Doktor Viteski zatrzymał się w drzwiach. Jego sylwetka była ostro zarysowana przez oświetlenie z holu, a twarz niewidoczna. Wyglądał jak wycięty z tektury manekin.

– Dobranoc – powiedział.

Zamknął drzwi za sobą.

Teraz świeciła już tylko nocna lampka z piętnastowatową żarówką. Ciemność podeszła bliżej do łóżka i położyła na pościeli swe długie paluchy.

Susan została zupełnie sama.

Spojrzała na drugie łóżko, całkowicie spowite przez mrok. Wyglądało jak płachta czarnej krepy i skojarzyło jej się z czuwaniem na marach. Zapragnęła żarliwie, żeby

dokwaterowano do jej pokoju jakąś pacjentkę.

To nie w porządku, pomyślała, nie powinni mnie tak zostawiać. Przecież dopiero co obudziłam się ze śpiączki! Ktoś powinien cały czas przy mnie czuwać, jeśli nie pielęgniarka, to chociaż sanitariusz, ktokolwiek.

Powieki miała ciężkie, coraz cięższe.

Nie! – powiedziała do siebie. Nie wolno mi zasnąć tak długo, aż będę pewna, że niewinna drzemka nie przerodzi się w kolejną, dwudziestodwudniową śpiączkę.

Przez kilka minut walczyła z ogarniającym ją uczuciem senności, zaciskała pięści tak mocno, że aż paznokcie wbijały się jej w dłonie. Ale oczy piekły ją coraz bardziej, a powieki były jak z ołowiu. Stwierdziła, że chyba nic złego się nie stanie, jeśli zamknie je na chwilę, aby dać im wypocząć. Była pewna, że jeśli nie będzie chciała zasnąć, to nie zaśnie, nawet jeśli zamknie oczy. W końcu zawsze wszystko było tak, jak ona chciała.

Momentalnie przeleciała przez granicę jawy i snu jak kamień wrzucony do studni.

Miała sen.

We śnie leżała na twardej, wilgotnej podłodze w dużym, mrocznym pomieszczeniu. Nie była sama. Byli z nią oni. Wstała i zaczęła biec w ciemności, potykając się o wystające skały, uciekając przed koszmarem, który był wspomnieniem tragicznego przeżycia z czasów, gdy Susan miała dziewiętnaście lat.

Znajdowała się w Pieczarze Gromów.